

SZCZUCIE.

Tragedia krakowska szeroko obleciała cały kraj, znajdując odgłos we wszystkich warstwach społeczeństwa. Zajął się nią także i sejm. Gdy sprawa weszła na obrady komisji wojskowej, na której gen. Szeptycki informował posłów o przebiegu zajść, między prawicą a lewicą doszło do ostrych starć, które omal, że nie przekroczyły granic parlamentar-nych. Niema zresztą parlamentu w Europie, gdzieby nie okładano się wzajemnie kijami, pięściami, czy kałamarnicami. Taka to już jest natura ludzka: od serca, czy mózgu — do pięści — jeden puls (nie krok). Mimo naszego temperamentu narodowego, dość wybuchowego uczucia i ognia, często składnąd przypominającego „ogień słoni-ny” — nasz parlament, polski sejm, — nie należy do najbardziej krwawych. Może jest zbyt gadatliwy, ale krwawy wcale nie jest. Cza- sem tam taki „pięściarz”, jak poseł Bryl — walenie kogoś w kark, ale poza tem obowiązując, że tak po- wiem, prawie że angielskie „ha- beas corpus”, którego jedynie nie szanuje policja, urządzając nocne rewizje w mieszkaniach poselskich „z włamaniem” do biurka (senat. Hasbach) lub szafy.

Otóż ostre starcia w komisji woj- skowej przy rozprawie nad zaj- ściami krakowskimi — polegały na wymianie zdań, na chwytaniu za krzesła, na trzaskaniu drzwia- mi, słowem, na wyładowywaniu e- nergii w próżnię. Krzyczą bowiem zazwyczaj ci, którzy mniej czy- nią. Tem niemniej ów wyładunek energii poselskiej jest pożądanym zarówn dla P. T. Publiczności przeciętnej, jako i dla całego spo- łeczeństwa.

Otóż posłowie większości rza- dowej (pp. Żaluska, Petrycki i in- ni) stanęli na stanowisku, że w Kra- kowie do wojska strzelali „lotry i zbiry”, którym przewodzili po- słowie socjalistyczni, Marek i Bo- browski. Mówcy prawicy żądali, aby srogo ukarać „winnych”, i aby na ławie oskarżonych zasiadli tak- że dwaj wymienieni posłowie z Pe- teusza. Wtedy zaczęła się „gra słów” i wymiana. Poseł Czapiński (P. P. S.) zawołał: „laidacvi!”, na co Żaluska rzucił: „brudne recel- we krwi oficerów i żołnierzy”, a tego było dosyć, aby krewki „Woj- tek” Malinowski zbliżył się do przedmówcy na odległość pięści, podczas, gdy Barlicki (również P. P. S.) opuszczał posiedzenie, trzaskając drzwiami... Ostatecznie po zapalczywej kłótni odrzucono spokojną rezolucję, domagającą się gruntownego śledztwa, a przyjęto wniosek p. Żaluski, w którym z góry wyrażone jest potępienie „zbrodniarzem krakowskim”.

Tak to wyglądało na komisji, a na plenum znalazło wyraz mniej więcej podobny i chwieński. Urza- dzono bowiem posiedzenie żałobne — i marszałek Rataj, wyrażając cześć ofiarom tragedji krakow- skiej, skierował ją tylko pod adre- sem zabitych oficerów i żołnierzy. ani słówkiem nie wspomniawszy o robotnikach — i dopiero lewica musiała zgłosić deklarację osobną.

W ten sposób trupy poległych w Krakowie podzielono na dwie kategorie: godnych i niegodnych szacunku. Za godnych uznano tyl- ko żołnierzy i oficerów z rodzinami. Robotników zaś za niegodnych wzywania ich imienia nadaremno... Tak postąpił sejm, z góry przesa-

dzając wyniki śledztwa, które może zmusić do zmiany decyzji co do wyrażania uczuć pośmiert-nych.

Ciekawe było zachowanie się marsz. Rataja. Gdy posłowie z le- wicy zwrócili mu uwagę, że było- by nietaktem pominąć w marszał- kowskim przemówieniu pamięć robotników — Rataj, po naradzie ze swoimi współpracownikami, oświad- czył, że uczynić tego nie może. — I nie uczynił, dając dowód jedno- stronności, która znalazła ujście i wyraz w prasie rządzącej. „Dwu- groszówka” krzyczy, że w Krako- wie o mały figiel nie wyróżniło oj- ców kapucynów. Pan Rabski mnie- ma, że krew krakowska — to im- minacja rocznicy rosyjskiej rewol- ucji. Pan Nowaczyński tymcza- sem ograniczył się do „przeglądu pism warszawskich”. — „Gazeta Warszawska” jaknie krwi, prze- dewszystkiem krwi Marka i Bo- browskiego. A wszyscy ci panowie mają wodę sodową w oczach i pianę faszystowską na ustach, — wieszczą: lotry mordowa- ły żołnierzy! Ale o tem, że żołnie- rze mordowali „lotrów” — ani słówka. Więc żołnierzom cześć i wieńce i lzy i nekrologi. A lotrów — wywieźć na smu-lik zamiejski.

Puszczono w ruch demagogię. Uderzono w surmy, talerze, bę- bny, piszczałki, organy i organki i organizacje. Zaapelowano do żoł- nierzy i do duchowieństwa: o was- ta chodzi: o waszą skórę! I dziw- doprawdy bierze, że jeszcze nie wynaleziono winowajców-żydów, którzy zawsze są zawodowymi winowajcami wszystkiego, na- ożem Chjena politycznie spekuluje.

Powiadają nam: cześć pamięci oficerów i żołnierzy. I proponują hańbę dla zabitych robotników, dla współuczestników pozostających przy życiu — sąd z potępieniem z góry.

Spróbujemy zastanowić się nad tem w sposób następujący:

1) Głodni strajkujący robotnicy upominali się o polepszenie bytu. Zamiast polepszenia — ogłoszo- no im militaryzację i sądy doraźne. Czy to był środek na uspokojenie żądających? Czy też środek pro- wokujący? Jestem zdania, że ten ostatni, że widocznie komuś zale- żało na tem, aby sprokować o- twartą walkę uliczną i odwrócić u- wagę zgnębanego społeczeństwa w inną stronę, mianowicie w stronę „wrogów wewnętrznych”.

2) Przeciw strajkującemu robo- tnikowi postawiono żołnierza. Ka- zano mu szabłą rozpędzać pocho- dy krakowskie, zapominając o tem, że dzisiejszy robotnik, to wczorajszy żołnierz. Można powie- dzieć więc, że poszczuto żołnierza przeciwko żołnierzowi. I kiedy ten pełniąc ślepy obowiązek skiero- wał broń przeciw drugiemu, któ- ry, czując słusność swych żądań, nie ustąpił z drogi — i kiedy po- ważne padły trupy z obu stron, to wtedy najwyższy aeropag „ojców- narodu”, rząd i sejm i ci, co stano- wią w nim większość — orzekli: ci, co byli w mundurach, a nas słu- chali, — są bohaterami obowiązku — tamci zaś bez mundurów, niepo- słusni naszym rozkazom — to lo- try, zbiry komunisto-socjaliści, itd., którym sejm boi się rzucić słowa pamięci na trumnę.

Cóż to jest? Jesi to szczucie żo- lnierza na robotnika i odwrotnie. Jest to niska demagogia, mająca na celu wygranie nastojów. I tę demagogię uprawia większość rza-

Waloryzacja... wydatków.

Ustawa o waloryzacji wpływów pa- Ństwowych będzie uchwaloną niedługo. W komisji sejmowej przepadł jednak wniosek, aby zwaloryzować również pla- ce pracowników państwowych, których waloryzacja musiałaby oczywiście po- ciągnąć za sobą także samo umożliwienie bytu dla pracowników prywatnych, ro- botników i t. d. Otóż wniosek ten został przez większość rządową odrzucony. W ten sposób pracownik państwowy i pry- watny będzie płacił w złocie wszystkie świadczenia na rzecz państwa i na rzecz wszelkiego kapitału, począwszy od po- datków, skończywszy na biletach ko- lejowych, na listach i na czynszach, lecz płatny będzie nadal nie w złocie, tylko w monecie papierowej, bez prera- chowania na złoto. Nie zastanowiła się tylko większość rządowa, ile pozostanie temu pracownikowi na życie, jeżeli wszy- stkie jego wydatki będą płatne złotem, a dochody pozostaną papierowemi i be- dą mu wpłacane walutą zdeprecjonowa- ną? Przypuszczamy, że ta sprawa sejm- zajmie się obszerniej, aniżeli komisja. Idzie wprost o byt rzesz pracujących.

Potworna nędza berlińczyków.

Od osoby, która wróciła z Ber- lina otrzymujemy autentyczny o- braz nędzy niemieckiej.

Za dolar amerykański płaca w Berlinie

1 bilion marek.

kurs ten jednak skacze z godziny na godzinę i powoduje nieopisany zameł i nędzę.

Onegdaj przyszło w Berlinie do poważnych

rozruchów głodowych.

rozruchy takie powtarzały się nor- malnie każdego rana, w godzinach zakupu środków spożywczych.

Przekupnie i okoliczni chłopi nie chcą przyjmować marki nie- mieckiej, żądają

obcej waluty

lub bonów złotej pożyczki.

Wiele środków żywności zupeł- nie niczna.

Tłuszcze i mleko są osobliwo- ścią.

Na targach berlińskich dzieja- się dantejskie sceny.

Matki

przynoszą swe niemowlęta i ze łzami w oczach błagają kup- ców o sprzedanie

kwarty mleka.

kłota wczoraj kosztowała 20 miliardów.

U pewnego rzeźnika, w którego sklepie znalazło się kilka zabi- tych wieprzów, wydawano mieso tylko chorym i starcom.

Rzeźnik domagał się zaświad- czenia lekarskiego, iż w domu ie- go klientki znajduje się chory, któ- ry potrzebuje silniejszego odży- wiania.

Za kilogram takiego specjału, płacono w godzinach rannych 200 miliardów, po południu doszła ce- na do

350 miliardów.

Berlińczycy odżywiali się prze- ważnie kartoflami, placąc za 1 kg.

3 miljardy

ale i tych kartofli nie można kupić w wystarczającej ilości.

Ludzie więc chodzą głodni, apa- tyczni, obdarci.

Na ile tej powszechnej nędzy panoszą się tylko paskarze.

wykupują brylanty.

meble, futra, dzieła sztuki, które niesie wygłodzona inteligencja na sprzedaż.

Żadne bowiem pensje nie wy- starczają, żadne zarobki pływają z uczciwej pracy nie pokrywają wydatków dnia.

Uczciwa praca stała się w Niemczech absurdem.

dzając i sam rząd, który umyślają- rece we krwi krakowskiej — jest winowajcą tej bratobójczej walki żołnierza z robotnikiem i, jako ta- ki, musi stanąć przed sądem, przez ostatecznym trybunałem Rzeczy- pospolitej demokratycznej, w-kto- rej Witos z Korfiantem kpiny sobie i krwawę drwinę z demokracji u- rzadzają.

Tadeusz Wieniawa-Długoszowski.

GENERAL BARON ALBERT de MARQUETTI.

Tragedja Habsburgów.

(Z pamiętników adjutanta).

Wojna światowa, która poryła ziemię naszą krwią, która pogra- żyła nas w rozpacz, łzach i ru- inie i obalila tyle tronów, osłabiła tyle państw, ta sama wojna zni- szczyła prawie zupełnie monarchję austro-węgierską.

Na terytorium tego państwa zbu- dowano nowe jednostki państwo- we, które, jak za dawnych do- brych czasów zwalczała i nienawi- dza się wzajemnie.

Calemu światu znane są kata- strofy, które bezustannie spadały na głowy wszystkich członków habsburskiej dynastji.

Cesarz Franciszek Józef, w cią- gu swego 68-letniego panowania posiadał trzech następców. — W pierwszym rzędzie syna swego Rudolfa, następnie bratanka Fran- ciszka Ferdynanda, a na końcu o- statniego cesarza austriackiego Ka- rola. Należy przyznać, że arcy- książe Rudolf był najbardziej bo- gatą naturą, posiadał żywą intelli- gencję, ale i tak niezwykle chara- ktery, że trudno było uważać go za człowieka zrównoważonego.

Raz tylko w życiu widziałem arcy- księcia Rudolfa. Było w roku 1887. Jako wychowaniec szkoły politechnicznej, asystowałem przy wielkiej wiosennej paradzie. Sta- lem w szeregach swego pułku i miałem w ten sposób okazję do nie- jednej obserwacji.

Arcyksiążę Rudolf wydał mi się pięknym mężczyzną, o regular- nych rysach twarzy o postaci smu- kłej i eleganckiej.

Był on wtedy nadzieją państwa, osobistością najbardziej popularną i lubianą, a już po dwóch latach skończył tak bezslawną śmiercią.

Po upływie owych dwóch lat znów stałem wśród szpalery, któ- ry ustawiono dla arcyksięcia.

Alle w jakże odmiennym waru- nku! Stałem na placu Kapucy- nów, a przedemną defilował or-szak żałobny i niesiono trumne, w której spoczywały nadzieje Au- strii.

Naród głęboko odczuł tę stratę i długo jeszcze powtarzano z żalem: — Ach gdyby Rudolf żył!

Podczas mego pobytu przy dwo- rze nikt nigdy nie wspominał Ru- dolfa. Niewiele informacji które o- trzymałem wtedy o zmarłym, po- chodziły od osób wiarogodnych i dobrze go znających.

Osoby te to: ksiądz Kanter, ja- łożnik dworu budapeszteńskiego, szwagier Rudolfa, ksiądz Filip Ko- burski i generał Latour.

Jeżeli wierzyć zapewnieniom tych osób, to Rudolf należał do bardzo uzdolnionych umysłowo lu- dzi. Podobno znał on doskonale bolączki swych czasów, posiadał łatwość poznawania charakterów ludzkich i zdrowy sąd o wszyst- kiem co go otaczało. Należałoby więc pokładać w nim jaknajdalej idące nadzieje.

Alle tak niestety nie było.

W zylach księcia płynęła niespo- koina krew przodków po matce. Rudolf posiadał nie tylko rysy ma- tki, ale i jej usposobienie! A to było niespokojne i groźne dziedzic- two!

Wychowany na wolność bez za- dnych krepujących zwykłe na- stępców tronu cugli, Rudolf wołał bezustannie: „Swobody, wolno- ści!”

Zawzięty wróg wszelkiej dyscy- pliny i ceremonjału, Rudolf prowa- dził życie człowieka, który nie po- siada żadnych obowiązków.

Comandor Rudolf pracował, ale

praca ta, to praca amatora i nie- zapełniała mu ona życia. Zajmo- wał się on współpracą w wielu naukowych dziełach, gdyż nie in- nego mu nie pozostawało. Cesarz Franciszek Józef był zbyt zazdro- snym o swój autorytet, by znieść współpracę syna.

Rudolf posiadał przyjaciela: arcy- księcia Jana Salwatora. To był taki sam niespokojny duch, czło- wiek nie uznający wieków społecz- nych i ulegający wszelkim pope- dom swego awanturniczego chara- kтеру.

Obaj arcyksiążęta, odsunięci od spraw realnej polityki, zabrali się do pracy i poczęli tworzyć nowe drogi i nowe teorie polityczne.

Sympatie Rudolfa kierowały się w stronę Francji.

Rudolf, zapalony zwolennik re- publikańskiej formy rządu (co dla Habsburga było conajmniej rze- czy dziwną), był wrogiem Rosji i Niemiec.

Alle wszystkie plany wymyślone przez tego idealistę pozostały oczywiście w krainie marzeń:

Argus cesarski czuwał i nie po- zwolił na żadne, choćby najdro- bniejsze wkroczenie w swe prawa.

W ten sposób młody malkontent, który nie posiadał zbyt wiele równo- wagi charakteru, stał się ponurym Hamletem. Po jakimś czasie por- zucił nawet pozornie ten smutek i myślał wyłącznie o swych roz- rywkach.

Droga ta, musiała być dla niego droga do zguby.

Zona jego, nieładna i nieinteli- gentna, nie mogła mu być niczem. I oto nastąpiła chwila przełomo- wa. Arcyksiążę, na balu polskim uirzał po raz pierwszy baronównę Marie Veisere. Baronówna po ma- cie miała greckich przodków i by- ła siostrzenicą znanego milionera i sportsmena Baltazzi.

Baronówna uczyniła na Rudolfie niezwykle wrażenie. Począł on marzyć o rozwodzie i małżeństwie z ukochaną.

Cesarz, gdy tylko się o tem do- wiedział, począł czynić kroki, by rozłączyć kochanków. Pomiedzy- ojcem a synem odbywały się bu- rzliwe sceny aż doszło do owej znanej awantury, po której zna- leziono Franciszka Józefa zemdlo- nego na podłodze, a no dwóch dniach zmarł nagle Rudolf i jego kochan- ka Vetsera.

Historja owego dramatu nie zo- stała dotychczas zupełnie wyja- śniona. Mówiono o wypadku pod- czas polowania, o bójce podczas bi- jajki. Oficjalnie mówiono o samo- bójstwie.

Podług moich informacji, rzecz- nie była tak prosta.

Gdy cesarz po owej burzliwej scenie zażądał zerwania z baronó- wną, Rudolf zgodził się. Napisał do niej i zerwał. Alle baronówna prosiła go o ostatnie spotkanie w Meyerlingu. Rudolf zgodził się. tembardziej, że sam już pragnał zerwać, gdyż spodobała mu się inna, żona leśniczego Bauera.

Kochankowie spotkali się więc i po czułych pożegnaniach, baro- nówna zamknęła się w jednym z pokojów, zażyła trucizny i umarła. Rudolf zaś, który może o tem nie wiedział, udał się na poszukiwanie swej nowej zdobyczy. Tu przydy- bał go mąż i rozbił mu głowę ja- kiemś temem narzędziem.

Po kilku dniach znaleziono leśni- czego zabitego w lesie.

Jak się rzecz miała w rzeczywi- stości? Tego nikt do dziś nie wie z całą pewnością.

AFORYZMY.

Gorsi niż złe wychowane dzieci, są złe, wychowani rodzice.

Tak długo póki kolekcjonujemy dzieła sztuki, posiadamy najwyższemu muzeum, gdy zaś kolekcjonujemy artystów, zdobywa- my salon.

Ludzie, których zamknęliśmy w swem

sercu, czują się w nim niebezpieczniej jak w więzieniu.

Szlachetni ludzie są jak kosztowne kołnierze — cenimy ich ale depczemy po nich.

Dla większości ludzi oszczędność jest korzystniejsza od prawdy.

K. L. Schl.